KRAINA POWIEŚCI

BEZPŁATNY DODATEK - WYCHODZI DWA RAZY W TYGODNIU.

Rok 1 CHOJNICE, dnia 19. XII. 1928. Nr. 8

JÓZEF CHEŁMIŃSKI

TAJEMNICA STAREJ CHATY

POWIEŚĆ SENSACYJNA Z DNI WSPÓŁCZESNYCH

23

Także na podwórzu panował nieporządek. Zielsko i chwasty wyrastały niczem na ugorowisku, szopa do połowy była zawalona, a płot okalający całe obejście kiwał się przy podmuchach lekkiego wietrzyku niby dumający nad swą nędzą pijaczyna.

Słowem był to widok wprost przerażający. Nigdzie nie zauważyłeś troskliwej i zabiegliwej ręki, krzątającej się z zamiłowaniem około swego dobytku.

Przybysze zatrzymali się przed zmurszałemi drzwiami i Lorenz zapukał pięć razy laską w zawieszoną na nich blachę.

Wkrótce z głębi ktoś się zapytał:

— Kto tam? Czego chcecie?

Lorenz odpowiedział:

— Wpuszczaj nas Bielik, to my! Lorenz Pyra i Franz.

Osobnik za drzwiami mimoto nie otworzył, lecz pytał się dalej:

— Powtórzcie powitanie!

Szef szajki się uśmiechnął i szepnął do swych towarzyszy:

— Ostrożna sztuka!

Głośno zaś wyrecytował:

— Błyska na niebie gwiazda pięciopromienna

Głos za drzwiami się odezwał:

— I spali plemię polskich psów.

Po chwili klucz zgrzytnął w zamku, zachrzęściły łańcuchy ochronne i drzwi się uchyliły.

Wysłannicy „Pięcioramiennej Gwiazdy“ weszli do wnętrza.

Znaleźli się najpierw w rodzaju kojca, spełniającego widocznie zadanie sieni. Stamtąd Bielik poprowadził ich do dużej izby.

Była to świetlica urządzona dostatnio, a nawet z pewnym przepychem wiejskim. Nikt, oglądający chatę z zewnątrz, nie byłby przypuszczał, że w takiej ruderze mieścić się może wcale przyjemne mieszkanie. Pod oknem stało biurko, pod ścianami kanapa i dwie otomanki, na aśrodku po koju stół kryty drogim obrusem, wokoło wyplatane krzesła. Na podłodze rozciągał się olbrzymi, gruby dywan.

W kącie lewym od drzwi wejściowych mieścił się kominek. Krzątała się kołoniego kobieta lat niespełna czterdziestu. Bielik wchodząc odezwał się:

— Lora, mamy gości. Szef przyjechał także Pyra i Franz. Przygotuj jedzenie.

Kobietaa, robiąca dość miłe wrażenie, grzecznie dygnęła w stronę wchodzącego Lorenza, poczem z powrotem zabrała się do swej pracy. Bielik tymczasem usadowił przybyszów przy stole, z komody dobył sporą butelkę konjaku, rozstawił kieliszki i napełniwszy je, uniósł swój kieliszek toastując:

— Panie szefie, na pomyślność. Cieszę się, że panów widzę znowu w starej chacie. W oczekiwaniu naszły mnie różne obawy.

Bielik był mężczyzną przeszło sześćdziesięcio letnim. Głowę miał siwiuteńką jak gołąb, ubranie na sobie marne, właściwie same łachy. Na pierwszu rzut oka robił wraż. zbankrutowanego żebraka. Przygarbiona postać, pokorna acz śmiała postawa, opuszczone lecz chytre oczy znamionowały osobnika, co potrafiobracać się wśród ludzi.

Lorenz i towarzysze wychylili kieliszki do dna, Bielik nalał od nowa. Wtedy Lorenz się zapytał:

— A tu jak stoją rzeczy? Co słychać? Nie zauważyłeś nic podejrzanego? Nie zachodził kto do chaty? Więźniowie co porabiają?

Bielik wlał do gardła drugą porcję konjaku, przełknął łypnął oczyma, a potem ocierając wąsa rzekł z zadowoleniem:

— Wszystko w porządku panie szefie. Pies z kulawą nogą o nas się nie zatroszczy. A te psy pod ziemią wszystkie żyją. Przecież według rozkazu dobrze je futruję. Zachowują się zresztą spokojnie. Jeno ta młoda koza chwilami dostaje ataków i wtedy wyprawia brewerje. Krzyczy, rzuca się, płacze, drze bieliznę na sobie, tłucze naczynia. Kiedy jednak jej plecy rajtpajczem przetrzepię, to się zwykle uspakaja.

— No, to pięknie, pochwalił Lorenz. Niezadługo uwolnimy cię od tych gałganów. A teraz jeszcze jedno Bielik, składnice są nienaruszone?

— A ktoby śmiał tam szperać?

— Kto? Toć ciebie mogła zajść ochota obejrzenia sobie tych wielkich jak ty myślisz skarbów.

Broń Boże, mój obowiązek pilnować, a nie badać!!!

— Ja też tak sądzę. Zresztą wiedz, że zebraliśmy się dzisiaj u ciebie na naradę wojenną. Wypowiadamy tym parszywym Polakom regularną wojnę i choć będzie ona cicha lecz nie mniej trupa w niej padnie niżeli na polu, gdzie grają karabiny maszynowe i armaty.

Twoją chatę obieramy sobie za siedzibę sztabu generalnego. Twoim obowiązkiem dopilnować żeby nikt naszej obecności tu nie zauważył i niepotrzebnie nosa nie wtykał. W naradzie będziesz brał udział. Tymczasem idź do szofera, ukryj się z samochodem wkrzakach. Wóz zatoczcie do szopy, poczem obaj wracajcie.

Bielik skłonił się:

— Rozkaz, panie szefie!

Następnie opuścił izbę.

Lorenz wypił z towarzyszami jeszcze jedną ko lejkę. Po chwili milczenia zwrócił się do Lory:

— A ty jak się czujesz?

Odpowiedziała przymilnym głosem:

— O, bardzo dobrze!

— A Bielik, jak się zachowuje, co porabia. Zasługuje nadal na zaufanie?

— Bez wątpienia. Takiego chytrusa trudno spotkać. Choć mnie tu w domu nieraz dokucza, a nawet często mnie wytłucze, to muszę przyznać, że naszych interesów świetnie pilnuje. A udawać umie jak żaden drugi. Łazi po całej okolicy przebrany za żebraka. Udaje pobożniutkiego i cieszy się ogólną sympatją. Naznosi do chałupy chleba, słoniny, mąki, kaszy, grochu i pieniędzy, że wszy stkiego w bród. Co ważniejsze, wszędzie zdoła swój nos wścibić. Sądzę, że dowiecie się panowie od niego wiele, wiele ciekawości.

— Pięknie, pięknie, przytakiwał Lorenz. Tylko pilnuj go dobrze i gdyby ci się coś wydało podejrzanem, to zaraz mi o tem melduj.

Na tem urwał, gdyż w tej chwili wrócił Bielik z szoferem.

Zaczęła się pijatyka. Bielik dobywał butelkę za butelką, Lora stawiała nastole całe sążnie kiełbasy. Wszystko niknęło w przepastnych gardzielach łotrzyków.

Wieczór już zapadł na dobre. Lampa paliła się od dawna.

— Że też potrafisz Bielik utrzymać się w roli żebraka, zaczął Pyra wydziwiać, że nikt tu do ciebie nie przyjdzie. Przecież widząc takie bogactwo musiałby powziąć podejrzenia.

— O, na takich ciekawych znalazłem sposoby, chwalił się Bielik. Owszem, nieraz się zdarzy, że ktoś przylezie biednego Bielika, ha, ha, ha, wspomóc, ale go tu nie prowadzę. Po prawej stro nie sieni jest druga izba, umeblowana jak tego wy maga mój zawód. Garść słomy, kulawy stół, sądek od piwa zamiast stołek, pajęczyna i dużo, dużo brudu.

Zobaczy taki jegomość tę nędzotę, to mu serce się rozrzewni i zawsze coś do swego datku dołoży. Bielik nie głupi.

—No na twoją pomysłowość!

I kompanja piła dalej.

Kiedy obecnym poczęło szumiec we łbach, Lo renz uderzył nożem we flaszkę, wołając:

— Cicho! Spokój!

Natychmiast wszyscy umilkli. Szef szajki zaś przemówił następująco:

— Koledzy! Zebraliśmy się nie tyle na pogawędkę, ile raczej dla spełnienia ważnych obowiązków.

Zanim przystąpimy do ich omawiania, zdajmy każdy sprawozdanie ze swej działalności. Osobiście muszę stwierdzić, że nasze szanse mocno się pogorszyły, odtąd ten przeklęty Suchocki depcze nam po piętach. Mieliśmy bestję w garści, lecz uciekł. Co gorzej zdążył Gustawa aresztować i zamknąć we więzieniu. Gustaw zabił Bertę, więc będzie z nim krucho. obawiam się również, iż wypaple wiadome mu tajemnice. Co z nim począć, jeszcze się zastanowimy. Na razie cieszmy się, że zdołaliśmy usunąć trupa Berty. Policja nie dość dokładnie go obejrzała. Tedy tajemnica nasza nadal pozostaje strzeżoną.

Co do Pyry to wiemy, że utrzymywał kontakt z Bielskiem. Chodzi nam przedewszystkiem o to, co Franz ma nam do powiedzenia. Gadaj Franz!

Wezwany uniósł się i oświadczył krótko:

— Nie wiele. Wielki mistrz wyraził zadowolenie z naszej działalności, głównie dlatego, iż odebraliśmy dokumenty Warzesze. Skoro je przejrzy da nam dalsze instrukcje. Nakazał także Suchockiego bezwzględnie usunąć. Pozatem kładł nacisk, żeby pan panie szefie od razu rozpoczął akcję, nakazaną mu w ostatnim szyfrowanym liście. Paczkę otrzymałem i niniejszem ją panu wręczam.

Lorenz odebrał z rąk Franza opisany już kartonik i kładac nań ręce przemówił:

— Koledzy! W tej paczce mieści się broń prze ciwko Polakom, mieści się śmierć dziesiątków tysięcy osób. A ponieważ „Pięcioramienna Gwiazda" wypowieddziała tutejszym Polakom zagładę więc jako wasz przełożony nie zasięgam u was porady a rozkazuję, zresztą tak, jak mnie rozkazano.

Plan naszej wojny następujący:

1) zabić Suchockiego,

2) zgładzić Gustawa i

3) zatruć w tym i okolicznychpowiatach wszelkie studnie i wody.

Co do punktu pierwszego i drugiego ja podejmuję się je załatwić co do trzeciego wy musicie go wykonać za pomocą swoich ludzi.

Mieszczą się w tej paczce bakterje raka, gruźlicy i ślepej kiszki. Wciągu tygodnia muszą się znaleźć we wszystkich publicznych wodach. Wystarczy jedna tubka, żeby zatruć największe jezioro.

Zobaczycie, jaki będzie efekt. Rozdzielę między was bakterje i każdemu doręcze szczeg. plan gdzie zarazki powinny się znaleźć.

Z temi słowy rozwinął karton. W pudełeczkach, szczelnie owatowane, znajdowały się maleńkie szklane tubki. Lorenz rozdał je między obecnych i każdemu dołączył mapę studni, jezior itp. znaczonych czerwonymi krzyżykami.

Aczkolwiek bandyci, brali śmiercionośne tubki z odrazą do rąk i wszystkim w głowie jawiło się pytanie:

— Za co te tysiące niewinnych mają ginąć?

Ciąg dalszy nastąpi.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Matka królów

W roku 1421 zamek wileński dolny i górny, samo miasto i okolica wcale inaczej przedstawiały się oku podróżnego niż przed laty kilkudziesięciu, nim krzyż zapanował nad tą stolicą, a Litwa połączyła się z Polską.

Z ramienia Jagiełły siedział teraz na Wilnie Witold, lecz on raczej panował Polsce i jej królowi, niż Jagiełło jemu. Siła ducha i przewaga były po stronie syna Kiejstutowego...

Pewnego pięknego, ciepłego, jesiennego poranku pod rozłożystemi drzewami, zabawiała się zbiegła z teremów księżnej Juljanny, drugiej żony Witoldowej, gromadka kobiet, po większej części młodych, której przedowało dziewczę nadzwyczajnej piękności, wysmukłe, czarnobrewe, z oczyma młodością gorejącemi i tryskającemi życiem.

Śmieszki i urywane piosenki słychać było pod drzewami, ale męski dwór księcia zbliżać się nie śmiał tam, gdzie były same niewiasty, które Juljanna surowo trzymała; podglądał więc tylko chciwie je ścigając oczyma.

W pośród tego wesołego dziewcząt i starszych pań grona, rozmaicie poubieranych, na ruski, polski i niemiecki sposób, postawą, wdziękiem i śmiałem a rozkazującem obejściem się rej wiodła, w pełni wiosennego rozkwitu, wesoła, hałaśliwa, roztrzpiotana czarnobrewa. Wszystko szło za nią i jej słuchało.

Ubior dziewczęcia powszedni, zbyt wykwintny nie był, choć na chęci ustrojenia się nie zbywało zalotnemu wyrostkowi. Można było z niego sądzić, że więcej się pragnęła ustroić, niż mogła. A to, co miała na sobie, zręcznie dobranem było, aby pokryć, co zbywało.

Cały orszak wiodła, przodując mu, podskakując, białemi rękami wskazując na drzewa, ciesząc się już zabawie, do której ciągnęła je za sobą. Nawykła była snadź prowadzić swe towarzyszki i rozkazywać im, bo na skinienie jej wszystkie rzucały się posłusznie...

Pod drzewami na grubych ich gałęziach, widać było zawieszoną, prostą, z mocnych nici w sznury skręconych, z deską na nich przywiązaną, huśtawkę. Ku niej biegiem, który do pląsów był podobnym, niekiedy w kółko się obracając i śmiejąc, dążyła śliczna czarnobrewa, a biegnąc, nie dawała się zamknąć ustom i każde jej słowo chórem wesołym; odzywało się między towarzyszkami.

Sukienka zielona, bramowana złotem, ale dobrze wytarta, białe rąbki, na czole przepaska, naszyjnik cienki z wiszącemi na piersiach kółkami, tak umiała nosić, jakby ją klejnoty okrywały... Na maleńkich bosych nóżkach miała trzewiczki jak suknia zielone, lecz także od używania spłowiałe.

Zbliżywszy się do huśtawki, dziewczę raźnie na nią skoczyło, pochwyciło dwa grube sznury, na których wisiała śmiejąc się, wykrzyknęło:

— Hej do roboty! hej! A rzucajcie mną wysoko, pod same obłoki! po nad drzewa ,nad wierzchołki... aż do gwiazd, pod niebiosa...

Starsza niewiasta, z twarzą bladą przeciągniętą, z zagasłemi oczyma, uśmiechniona łagodnie ubrana ciemno, z krzyżem na szyi, stała tuż przy huśtawce i przerwała cicho.

— Oh! kniahinko ty moja! Tobie się chce tak wysoko, a kto pod obłoki lata... spadać na ziemię musi... Lepiej po niej spokojnie. Od hustawki się głowa zawraca!

— Ja bo lubię, żeby mi się w głowie kręciło, wolę to niż martwą ciszę. Hej! hej! huku, wrzasku, biegu, lotu dusza pragnie, a tu w tych murach taka niewola!!!

I spozierając na zamek, skrzywiła się wyraziście, jakby mu ją wyrzucała.

Już dwie służebne z tyłu wzięły były sznury któremi huśtawkę rozkołysać miały, ale starsza stojąca przy niej wstrzymywała. Rozmowa była nieskończona. Księżniczka też już nie nagliła.

— Oj ty, ty ptaszku, co ci skrzydła urosły — mówiła dalej stara. — Latałoby ci się, latało, aż gdzieś sokołowi we szpony...

— Bodaj sokół pochwycił i rozdarł lepiej, niż tak gnić za krosnami a słuchać...

Nagle dziewczę przerwało.

— Nie strachaj mnie Femko, nie strachaj i nie wróż tak źle.

— Ja nie wróżę, bom nie wieszczbiarka, tylko przestrzegam — odpowiedziała smutnie Femka.

Księżniczka ciągle na huśtawce siedziała.

— O! jabym bardzo chciała, żeby mi kto kiedy powróżył — dodała czarnobrewa. — Naprawdę Femko. Nie umiesz ty? Jam taka mojej przyszłości niecierpliwa i ciekawa!

— Ona tylko Bogu wiadoma — odparła Femka, — a przyjdzie aż nadto rychło... Co przeznaczone, nie minie. Wtem jedna z towarzyszek księżniczki zbliżyła się do huśtawki.

— Do wróżenia — odezwała się z minką poważną, w której się głęboka wiara malowała — niema, jak ta stara Mecha! Ona, co tylko której przepowiedziała, wszystko się ziściło.

— Mecha? a gdzie tej Mechy szukać — westchnęło dziewczę. — Dałabym jej chętnie podarek...

Spojrzała po sobie pomyślała i uśmiechnęła się gorzko, może przypomniawszy, że niewiele, co dać mogła.

— Gdzie jej szukać? wtrąciło żwawo dziewczę Mecha też zawsze siaduje pod kościołem. Wszyscy na nią mówią z cicha, że poganka jest i że dlatego tylko od drzwi kościoła nie odchodzi, że tam dawniej palił się ten ogień wieczny, któremu ona posługiwała. Poganka, nie poganka, ona wszystko wie, czyta w wodzie, z twarzy, z ręki, jakby z pisma klecha.

Księżniczce, aż rumieńce wystąpiły na twarzyczkę.

— Zula, ty kochana moja, pierścionek mieć będziesz odemnie, tylko mi tu sprowadź Mechę. Mnie się zdaje, że jak ona wyprorokuje, to i prędzej przyleci coś nowego.

Femka jakoś przecząco głową kręciła.

— Czarownica! poganka! — szepnęła — jeszcze urok jaki rzuci.

— Ja się tam uroku nie boję, krzyżyk pobłogosławiony na piersiach noszę, a takbym tę zaklętą przyszłość znać chciała.

— A jak w niej co złego siedzi? spytała Femka.

— No to będę złego czekać, a odżegnywać! — dodało dziewczę uparte.

Towarzyszki jej szeptały pomiędzy sobą. Księżniczka ciagle na huśtawce siedziała. Biegła tak do niej spragnionaa rozrywki, a teraz się już jej całkiem odechciało, myślała o czem innem, o przyszłości!

Skoczyła z deski, na której się była tak wygodnie umieściła.

— No — zaśmiała się Femka, głaszcząc ją po ramionach — a tak ci się chciało poldecić w obłoki?

— Bo cóż lecieć, kiedy nie dolecę! — tęskno westchnęła dziewczyna. Nogi przykute do ziemi

Femka odwróciła się.

— Jabym już huśtawkę wolała, niż wróżenie. Trzeba z niej skorzystać póki jest, bo kto wie, czy długo będzie?

Zamyślona księżniczka znowu wskoczyła na siedzenie, porwała za sznury, spojrzała na swe służebne i pogrążona w dumach jakichś, rzucać się w powietrze kazała.

Lecz choć tak milcząca o czemś marzyła, piękna jej twarzyczka wcale smutnego nie nabrała wyrazu, jak gdyby nie umiała, czy nie mogła się zachmurzyć. Nadto była młodą, szczęśliwą, czy życiem upojoną.

Femka, przyglądała się jej milcząca, a niekiedy, jak dziecku przyklaskiwała rękami. Oczy księżniczki zwracały się tymczasem ciągle w tę stronę, z której obiecana Mecha przyjść była powinna

Posłanej po nią Zuli, ani jej, widać nie było.

Wtem Femka coś w dali palcem ukazała. Z za murów mignęła naprzód biała z pasami czer-

wonemi sukienka, potem szare płachty kobiety, która zdala wcale do żebraczki podobną nie była.

Słusznego wzrostu, wyprostowana poważnie, cała pokryta białawą zasłoną, która od głowy do stóp po niej spływała, śmiało szła niewiasta nie młoda już, której twarz ponura, pomarszczona postrach i poszanowanie wyrażała.

Rysy jej, niegdyś piękne, wiek uczynił groźne mi, tak się głęboko żal i boleść na nich wyryły. Siwe, długie włosy, rozpuszczone spadały jej na ramiona, a z pod płótna, które ją okrywało całą, widać było na czole zwiędły wianek z ruty i liści dębowych.

Był to znak dziewictwa i kapłaństwa starej Mechy.

Chociaż ją wiedziono przed oblicze księżniczki, wcale się tem nie trwożyła, szła krokiem pewnym, rzucając oczyma ciemnemi z pod powiek, jakby płaczem zakrwawionych.

Zobaczywszy ją księżniczka dała znak służkom i z niecierpliwością płochego dziewczęcia, niedoczekawszy się nim rozkołysana zatrzyma się huśtawka, zuchwale skoczyła na ziemię. Femka blizko stojąca pochwyciła ją w objęcia.

Stara Mecha, stała przed nią, ciekawie się przypatrując, a usta zaciskając coraz mocniej.

Niestrwożone groźnem jej obliczem dziewczę zbliżyło się napastliwie.

— Dobra ty moja — rzekła przymilającym się wdzięcznym głosem — bedziesz ty mnie wrożyła?

Wajdelotka milczała, potrząsając głową.

— A tobie na co wróżby moje? — odezwała się żałobnie — albo to ci los nie wywróżył już przy szłości? Rodziłaś się na starym kunigasów zamku w Holszanach, ojcowie twoi ludziom panowali i ty będziesz królować.

Potrząsała głową, wpatrując się w piękną księżniczkę, która gorące w nią wlepiła oczy.

— Na co tobie wróżby moje — dodała — kiedy krew wróży i liczko wróży?

Dziewczęta ciekawe cisnąć się dokoła, otaczały Mechę i swoją panią, wyciągały główki, przestraszone nieco, usiłując najmniejszy szept pochwycić.

Mecha opornie, z niechęcią i wzdraganiem od powiadała księżniczce. Ta zdjąwszy pierścionek z palca, bo nic innego nie miała do podarowania starej, podała go jej z uśmiechem, ale Mecha nie przyjęła. Zlekka odtrąciła jej rączkę, mrucząc smutnie.

— Tobie on krasawico, będzie wkrótce potrzebniejszy.

Zarumieniła się księżniczka.

— Na co?

— A doczegożby były dziewczętom pierścionki, jeśli nie na to, aby je mężczyznom dawały.

Cicho było dokoła, słuchano i czekano, co dalej powie Mecha, ale ta spuściwszy oczy, szeptała coś sama do siebie, czy do niewidzialnych duchów i nie prędko głowę podniosła.

Twarz się jej całkiem zmieniła. Wstąpiła w nią siła wielka, tak, że dziewczęta od jej wzroku rozstąpiły się ze strachem.

— Męża tobie wkrótce swatać będą — mówiła proroczym duchem natchniona. — A będzie swatał cię taki, coby może rad sam wziął, gdyby mógł Koronę ci włożą na czoło i panować będziesz, a łzy tobie ona wyciśnie. I swat się wrogiem stanie, nieszczęśliwą będziesz, nieszczęśliwą... Królom matką, po królach sierotą, we łzach krwawych złoconych chleb pożywającą niewiastą.

Wlepiła w nią oczy, długo patrząc i sama do siebie mrucząc coś niewyraźnie.

— Po co tobie pytać mnie było i ból ze mnie wyciągać? Nie mogę ją dać nic, tylko co mi duchy przyniosą. Nie mam swojego nic, nie wiem sama nic... Płynie wszystko zdaleka.

Zamknęła sobie usta dłonią chudą, pokłoniła się i zawróciwszy, żywo iść poczęła ku bramom.

Dziewczęta stały wszystkie jak wryte, a księżniczka, której lice się paliło, powtarzała cicho jeden wyraz:

— Korona!

Ten dla niej zagłuszył inne!

Femka ręce załamywała.

— Co ta stara czarownica wiedzieć może? — szepnęła, zbliżywszy się. — Dobrze, że poszła sobie mnie dreszcze przechodziły, patrząc na nią Pewnie poganką jest!

Do huśtawki nikt już nie miał ochoty. Smutek powiał po wszystkich.

— Łzy! łzy! — sama do siebie zamruczała Femka. Słońce zachodziło za góry: była to godzina, o której na zamku wieczerzę dawano.

Książę jak zwykle, gdy dostojnych gości nie przyjmował, sam siadał do nakrytego stołu, bo długo siedzieć przy nim, jak Jagiełło, nie lubił, jadł niewiele, nie pijał nic, oprócz wody innego napoju nie znał...

I ten czas przy stole nie bywał dla niego straceny, bo do obiadu i wieczerzy zwoływał zwykle którego ze swych pisarzy, Cebulkę lub Lutka z Brzezia, pisma sobie przyniesione czytać kazał i odpowiedzi na nie dyktował.

Sonka wchodziła na zamek z dziewczętami i miała się do swoich izb zawrócić, gdy drogę jej zaszedł Michno, Witoldowy sługa, i pokazując na drzwi, rzekł, z pokłonem:

Kniaż a pan do siebie was prosić kazał. Już po zamku wszędzie szukałem.

— Wieczerzał już? Księżna jest u niego? zapytała.

— Nie — odparł sługa — właśnie siedzi u stołu, sam jeden jest, nawet pisarzów wołać nie kazał. Oprócz czeladzi niema nikogo.

Sonka, dawszy znak Femce i dziewczętom, śmiało do jadalni wkroczyła.

Izba to była wielka, w której książę jadał, gdy sam był i gości czasem mnogich przyjmował

Ubrany w kaftan ciemny, podpasany po domowemu, bez ozdób żadnych, z włosem długim na ramiona rozrzuconym, siedział, trzymając w ręku kawał mięsa pieczonego i nóż. Niósł do ust ten posiłek, gdy Sonka w progu się ukazała.

Bystro spojrzał na nią.

— Sonka! — zawołał — kazałem cię szukać po zamku: gdzie się ty kryjesz po komorach, latawico? Myślałem, że bojar jaki rozmiłowany poniósł cię już na rumaku, jabym się za nim w pogoń puścił może, kto wie, albobym pobłogosławił na drogę?

— Doprawdy? — odparło dziewczę śmiało — tak ja dla was mało warta, że nie wiecie?

— Ale ty wiesz, sroczko zła, ja na ciebie i twoje oczy paskudne patrzeć lubię — rzekł Witold — tylko, już mi się sprzykrzyło pilnować latawnicy, która w gnieździe usiedzieć nie może. Wolałbym opiekę oddać innemu...

Ciąg dalszy nastąpi.

Drukiem i nakładem drukarni „Dziennika Pomorskiego" w Chełmcach.